



„MAZEPA”

PO

WĘGIERSKU

„MAZEPA”, cóż... Jak wielu sądzi i sądziło, najbardziej sceniczny z dramatów Słowackiego, jako pierwszy też trafił na scenę. Przerobiony na film. Ciągłe wznawiany, mimo że aktorzy boczyli się na niego, a to stał, że na scenie pojawia się tu trumna, to zaś zgodnie z teatralnym przesądem zwiastuje jakieś nieszczęście w zespole. Podobnie jest z „Don Juanem” Zorilli. Ale dzisiaj trumny się nie wnosi, układa się jedynie aktora w charakterze nieboszczyka i podkłada mu poduszkę, bo musi przecież w ten sposób leżeć dość długo. W samym finale nie jest już sam, bo towarzyszą mu zwłoki Amelii i Wojewody. Zresztą podobnie jest w innych dramatach Słowackiego, tak jak to było w praźródle — u Szekspira. Trzeba jednak przyznać, że dzieje historycznego Mazepy obfitowały w barwne, malownicze i niezwykle epizody, stąd też umiłowali je sobie twórcy od Byrona i Liszta po współczesnych. Skoro Liszt, to Węgry. A właśnie zdażyło mi się widzieć coś

osobliwego — teatr imienia Petöfięgo z Veszprém przywiózł do Polski „Mazepę” Słowackiego, po węgiersku naturalnie, w przekładzie Gracji Kerenyi, ale reżyserowanego przez Alinę Obidniak. O których to okolicznościach za chwilę. W każdym razie nie włożyłem słuchawek z tekstem polskim i słuchałem rzeczy po węgiersku, co dało mi rodzaj osobliwej pantomimy, ile że pó węgiersku znam słów coś z piętnaście. Początkowo jakby się odrobinę nie kleiło — może aktorzy mieli trochę tremy, może po prostu akty ekspozycyjne u Słowackiego są „jakieś takie”, potem rozpędziło się, związało i nawet bez tekstu zrobiło ciekawe. Amelia Kataliny Takács była bardzo „salomeowata”. Mazepa Andrása Vitai — so-wizdrzałowaty à la Fanfan, a Tibor Tánčzos — Wojewoda — ogromnie polski i węgierski zarazem. Szkoda mi, że nieszczęsnego Jana Kazimierza i tym razem Lajos Dobák potraktował wrednie, może wredniej niżby sobie Słowacki życzył.

Wszystko to odbywało się w ramach dni teatru i muzyki węgierskiej, primo. Secundo — w ramach, jak się zdaje, bardzo szczęśliwych, stałej współpracy teatru z Veszprém i w Jeleniej Górze, którą to współpracę zadzierżnęła i skutecznie kontynuuje Alina Obidniak, dyrektor Teatru im. Norwida. Teatry odwiedzają się nawzajem, tym razem była to bodaj czwarta wizyta Węgorów w Polsce. Bravo! Ale dlaczego właśnie „Mazepa”? (Muszę się przyznać, że osobiście nie jestem największym wielbicielem tego właśnie dramatu Słowackiego). Otóż powody są bardzo poważne. „Mazepa”, jak pamiętamy, był nie tylko pierwszym dramatem wieszczą wystawianym na scenie, ale jedynym za jego życia. Gdzie? Na Węgrzech właśnie i po węgiersku. Tak, właśnie w Budapeszcie w 1847, w przeddzień Wiosny Ludów, odbyła się prapremiera „Mazepy” i Słowackiego w ogóle. „Mazepa” szedł raptem parę dni (podobno tłumaczenie, zresztą z niemieckiego, było bardzo kiepskie), ale przez

następnych dziesięć lat powracał na scenę w różnych miastach Węgier. Potem na 132 lata cisza — i dopiero teraz współpraca teatrów z Veszprém i Jeleniej Góry przywraca Słowackiego repertuarowi węgierskiemu. No więc właściwie nie było wyboru — musiał to być „Mazepa”, miał do tego moralne prawo.

Czy jednak w ogóle Słowacki może być wystawiany poza Polską? Mam pewne wątpliwości, oparte zresztą na nie najlepszych doświadczeniach. Słowacki był wystawiany tu i ówdzie, ale bez wielkich sukcesów. Cóż, po prostu najświetniejszy tłumacz nie odda tego, co najważniejsze — samej poezji, którą przecież Słowacki stoi. A bez niej może się wydawać wtórny. Najczęściej proponowało się światu właśnie „Mazepę”, zapewne dla jego zwieźłości i wartkiej dramaturgii. I to chyba błąd. Osobliwości Słowackiego kryją się raczej w okresie mistycznym, w „Kordianie”, pewnie i w „Balladynie”. Zapewne, byłyby o

wiele trudniejsze w przekazaniu nie-polskiemu widzowi, może trzeba by więcej komentować, więcej dopowiadać. Ale wtedy wyjawilaby się może łatwiej osobliwość, odmienność, niepowtarzalność Słowackiego, który przecież naprawdę nie był żadnym kopistą czy to Szekspira, czy to kogokolwiek innego, chociaż bywał u różnych wielkich poprzedników w terminie. „Mazepa” może najdalej „kosmopolityczny”, więc też najbardziej zrozumiały, ale właśnie dlatego najmniej oryginalny, najmniej odrębny. W tym jednak wypadku, jak mówiłem, wyboru ze względów historycznych nie było. Teatr z Veszprém wystawiał zresztą także Mroźka, a na jego scenie gościł zespół jeleniogórski z „Kramem z piosenkami”, „Beniowskiem”, „Lalką”, Witkacym... To już w sumie poważniejsza wizytówka polskiej dramaturgii, a miejmy nadzieję, że współpraca potrwa dalej. Czego obu teatrom i życzę i gratuluje.

PIOTR KUNCEWICZ